PRAWDA

PISMO FRONTU ODRODZENIA POLSKI

Luty 1943 r.

TREŚĆ

1. Owoc stokrotny
2. Wychowanie rodzinne
3. Rodzina
4. Zakon św. Rodziny
5. Jak Kościół Katolicki ocenia wojnę?

1. Nieporozumienie
2. Niebezpieczny klimat
3. Po raz pierwszy
4. Anglia musi czekać
5. Przegląd prasy
6. Nasze życie
7. Aktualia Warszawy

Owoc stokrotny

„...A inne padło na ziemię dobrą,
A gdy wzrosło wydało owoc stokrotny...

Słowo Boże jest jak wiatr — słyszymy Je — choć nie widzimy. Słowo Boże jest jak deszcz, pada wszędzie i nie ma skrawka ziemi, którego by nie zmoczyły jego dobroczynne krople. Więc nie tutaj leży ciężar zagadnienia, iż wśród nas słyszymy poszum słów Bożych i ciągłe stukanie kropli Bożego dżdżu. Bóg nie przychodzi do nas ponieważ jesteśmy sobą. Bóg nie nawiedza bez końca synów Abrahama, ani też synów Chocimia czy Wiednia. Słowo Boże pada na ziemię złą i dobrą. Wzbudza do życia zboże i kąkol. Świeci słońcem miłosierdzia sprawiedliwym i niesprawiedliwym.

Istnieje mała roślinka — rodzina ludzka. Nie człowiek ją stworzył. Bóg wywiódł z nicości ten pęd człowieka, by szukał w zjednoczeniu z innym człowiekiem warunków do powstawania i utrwalania się nowego życia. Wszystko na świecie dokonywa się dla człowieka, lecz mało rzeczy poza człowiekiem. Człowiek musi to pojąć by wiedzieć i pamiętać, iż każde jego słowo, każdy gest bywa wykonaniem lub przeciwstawieniem się woli Bożej. To nie są tylko słowa. Bóg jest realnie w każdym naszym dziele. Nie dlatego, że jesteśmy lepsi niż inni. Bóg jest w dziele każdego z nas, nawet najniegodniejszego.

Bóg jest więc i w rodzinie. My Boskiego charakteru rodzinie nie odbierzemy. Czy będziemy ją cenić, poważać, chronić, osłaniać, czy też poczniemy ten węzeł życia rodzinnego osłabiać i rozplątywać, zawsze stać będziemy wobec Bożej instytucji. I zawsze działać będziemy mocą, którą nam daje Bóg. Jeśli wbrew woli Bożej rodzinę rozbijemy, ta sama siła, którą do dzieła użyliśmy, powali nas i załamie. Takie jest prawo życia. Bóg daje siłę i autorytet wolnej woli ludzkiej, ale ją też i karze — pozwalając na wolności tej nadużycie.

Nie wystarczy jednak skłonić głowę przed Boskością instytucji rodziny. Nie wystarczy uznać, że Łaska sakramentalna słów Bożych uczyni sama przez się rodzinę fundamentem zdrowego społeczeństwa. Każda rodzina tę Łaskę otrzymuje, lecz jakże niewielu przynosi ona owoc. Słowo Boże jest **jak wiatr. Nie każdy żagiel potrafi je schwytać**, choć wszędzie wieje. **Nie każdą rolę zrosi, tylko** tę, która się na deszcz otwarła.

Gleba rodzinna musi być inna. Musi być skąpana i użyźniona, by w niej Łaska mogła działać, musi leżeć zdala od zbyt gwarnych gościńców, życia, zwolnione od chwastów, strzeżone przed ptakami.

Przyjąć Boskość instytucji rodziny, to znaczy uczynić ją tym, czym być powinna. Nie każda rodzina jest elementem kształtującym i umacniającym naród, tworzącym siłę państwa. Hasło „więcej dzieci" stać się może szkodliwym nawet hasłem. Większe prawa dla licznych rodzin mogą być traktowane prawie za bezmyślność, za najtaniej wypełniony obowiązek życia państwowego.

Rodzina musi stać się sobą, aby mogła być instytucją, w której działa Boży ferment, zdolny zawsze do czynienia cudów. Nie szukajmy śladów Boskości tam, gdzie nie ma prawdy, trzeba być po-

rządnym człowiekiem, aby stać się dobrym katolikiem. Musi być dobra rodzina, aby stała się rodziną katolicką.

Bo słowo Boże pada wszędzie, i na glebę jałową, i na wydeptane stopą przechodnia przydroże, i między chaszcze. To Słowo Boże tworzy rodzinę również ludzi, co nie mają korzenia, słowom, diabła są posłuszni, duszą się wśród trosk bogact i rozkoszy świata. Tam także powstaje rodzina.

Ale rodzina - gleba, na której nie wyrosną kłosem ziarna Bożego Słowa.

Więc znowu przetwórzmy siebie. Nie zbudujemy Bożej instytucji, rodziny, gdy na wolę Bożą nie będą nastawione wszystkie nasze czyny. Rodzina ma zbawić świat, wzmacniać społeczeństwo, uzdrowić naród, stać się fundamentem gmachu państw. O tym się mowi coraz częściej. Ale jaka rodzina? Czy ta, co stygmat Słów Bożych wzięła i zagubiła go potem na drogach życia, czy też ta, co oczekując na nadejście wichru Bożego, ducha odnalazła swe własne nieskażone oblicze i umiała je zachować?

Wychowanie rodzinne

W wielu tysiącach rodzin polskich wychowania rodzinnego wśród wojny być nie może. Ojciec zginął lub przebywa w niewoli, może wywieziony został z kraju, a może walczy dalej, jawnie gdzieś daleko, lub podziemnie blisko, ale własnymi dziećmi zaopiekować się nie jest w stanie. Niejedna matka zginęła od bomb lub została przymusowo wysiedlona i rozdzielona od dzieci, a jeśli nawet została w domu, to jest dzisiaj nieraz jedyną żywicielką rodziny i w ciężkiej pracy borykać się musi o jej utrzymanie.

W rodzinach tak przez los dotkniętych nie ma co myśleć o wychowaniu rodzinnym. Ze zgrozą myślimy o skutkach, wynikłych z niewychowania młodzieży. Odczujemy je w Polsce gorzko po wojnie.

Tym większy obowiązek ciąży na tych rodzicach, którzy nawet wśród stosunków wojennych mogliby wpływać na kształtowanie charakteru synów i córek, ale nie czynią tego z braku poczucia odpowiedzialności, czasem dla uniknięcia wysiłku, a może z nieumiejętności.

Przed wojną wyrabiał się już pogląd, że tylko wyżywieniem i ubraniem dzieci zajmują się rodzice, a w y c h o w a n i e ich należy do szkoły, do towarzystw młodzieżowych, do wojska, w późnym już wieku do samorządu.

W rodzinach, które takiemu poglądowi hołdowały, z chwilą utraty niezależności państwowej ustało zarazem i wychowanie młodzieży. Jest to jeden z dowodów, jak mylnym był sam pogląd. Żadne bowiem wychowanie szkolne ani państwowe nie zapełni tego wycinka, który z samej natury, a więc przez Boga, przeznaczony został dla osobistego wysiłku rodziców. Podstawą wychowania musi pozostać rodzina, bo ona jest podstawową komórką życia społecznego, narodowego i państwowego.

Drugim dość rozpowszechnionym a mylnym poglądem jest ten, że wychowaniem dzieci winna się zająć jedynie m a t k a. Ojciec ma poprzestać na wkraczaniu wówczas, gdy zachodzi potrzeba dziecko ukarać lub ostro skarcić, poza tym malcami się nie interesuje, czasem zamieni z nimi kilka słów, czasem „pobawi się" z nimi, czyli ponosi je „na barana" lub obdarzy je łakociami. Chłop, robotnik wracają do domu zbyt zmęczeni fizycznie, by jeszcze gadać z dziećmi, inteligent wraca z biura i chce mieć „święty spokój", człowiek interesu oblicza wieczorem zyski i układa plany na dzień następny. Dla zajęcia się charakterem i duszą syna czy córki, a to bez względu na to czy mają oni lat pięć czy siedemnaście — ojciec czasu nie ma.

Tymczasem w naturalnym porządku rzeczy nie kto inny lecz o j c i e c — ta głowa rodziny jest przed Bogiem i narodem w pierwszym rzędzie odpowiedzialny za wyrobienie w dzieciach silnego charakteru, godności osobistej, właściwego stosunku ich do ludzi i do Boga. Matka stwarza w domu nastrój rodzinny, mający być kiedyś jasnym wspomnieniem dla dorosłego już człowieka, ma otoczyć dzieci miłością, nauczyć pierwszego pacierza i pierwszej polskiej pieśni — ale mocną podbudowę charakteru winien wszczepić w dzieci ojciec. Polsce potrzeba synów w y c h o w a n y c h, Polsce potrzeba może twardych ale kochających dzieci, zajmujących się nimi ojców.

Dziś, gdy obostrzenia i łapanki okupanta zmuszają go dłuższego przebywania w domu, gdy szkoły, pozostające pod ostrą kontrolą wroga, nie mogą spełnić nawet połowy swych zadań — zorganizujmy k r u c j a t ę w y c h o w a n i a d z i e c i i m ł o d z i e ż y w r o d z i n a c h. Niech czytelnicy „Prawdy" nie tylko zaczną od siebie, ale niech szerzą wśród krewnych i znajomych myśl, że skoro Bóg oszczędził im tak częs ej dziś rozłąki z dziećmi, winni są odwdzięczyć się Mu podjęciem trudu osobistego ich wychowania.

Brak czasu nie stanowi wymówki. Kanclerz Anglii z XVI wieku, św. Tomasz Morus uważał, że godzina rozmowy z dziećmi i zajęcie się domownikami, za których ponosi przed Bogiem odpowiedzialność, jest takim samym jego obowiązkiem, jak kierowanie sprawami państwa. Jeden z nasz ch ministrów (zresztą Sodalis Marianus) wstawał codziennie o szóstej, by móc przed urzędowaniem poświęcić przynajmniej godzinę rozmowie ze swymi dorastającymi dziećmi. Zwykły obywatel może i musi znaleźć również czas na ten swój o b o w i ą z e k.

Nie pomniejszajmy znaczenia rozmów rodzicielskich z dziećmi na tematy życiowe. Każdy wiek ma swoje walki, radości, zawody, trudności, z których musi wychodzić zwycięsko. Nie można ich lekceważyć, trzeba wczuć się w ich ważność. Gdy siedmioletni synek skarży się, że inne dzieci nie chcą się z nim bawić, to sprawa ta jest dla niego równie doniosła, jak dla ministra spraw zagranicznych odmowa zawarcia gospodarczego układu ze strony ościennego państwa. Trzeba więc powód skargi dziecka rozpatrzeć. Może być nim brak wy-

robienia fizycznego, nie dotrzymywania kroku rówieśnikom, zbytnia chęć przewodzenia lub nieprzestrzeganie prawideł gry.

Gdy siedemnastoletni syn zwierza się ojcu ze swych wątpliwości religijnych, to ojciec musi tej sprawie poświęcić najbaczniejszą uwagę. Jeśli sam nie czuje się na siłach do rozwiązania problemu, obowiązany jest zetknąć syna z ludźmi kompetentnymi, którzy wątpliwości wyjaśnią.

Jeszcze ważniejszy od rozmów jest przykład. Przed wzrokiem, słuchem i spostrzegawczością dzieci nic w domu się nie ukryje. Nie daleko pada jabłko od jabłoni. Jeżeli polityk czy socjolog uznaje lub nie uznaje rodzinę za najważniejszą komórkę społeczną—to przyczyna leży zazwyczaj w tym czy w domu własnym, ojcowskim, miał budujący przykład rodziny lub gorszący.

Pogląd na potrzebę hierarchii społecznej wytwarza się często w wieku dziecinnym zależnie od tego, czy istniał autorytet ojca i matki, czy też doznał on u dziecka zachwiania. Polityk, głoszący walkę klas i szerzący nienawiść społeczną czy narodową, bardzo często był wychowywany przez rodziców, którzy w rozmowach prowadzonych wobec dzieci wypowiadali głośno swą zawiść, zazdrość i gorycz w stosunku do bliźnich. Dziecko musiało przesiąknąć jadem nienawiści. Jak może się wytworzyć w dziecku poszanowanie dla mocnego charakteru, gdy słyszy ono w domu rozmowy, jakby tu pozyskać łaskę możnych ubliżającymi sposobami dla własnej godności? Odwrotnie, przykłady **nie zmiennego w różnych okolicznościach życia** charakteru ojca, zaciętość matki by się nie dać złemu losowi — same przez się działają już wychowawczo na dzieci.

W obecnych warunkach wychowanie młodzieży narodowe i państwowe (w odniesieniu do własnego państwa) musi przejąć na siebie rodzina, bo szkoła jest skrępowana, a towarzystw młodzieżowych brak. Byle tylko rodzice umieli temu podołać! Bo na to trzeba znać dzieje Polski, jej ideały odwieczne, wczuć się w jej misję dziejową na przyszłość. Dziś każda polska rodzina to skrawek Polski niepodległej.

Nasi wrogowie zastosowali u siebie system wychowania dzieci już od przedszkola przez państwo. My już teraz wśród wojny zastosujmy system wychowania dzieci w rodzinie.

Zobaczymy który naród lepiej na tym wyjdzie.

Rodzina

— Co jest największym nieszczęściem i brakiem duszy człowieka? — Nie znac Boga.

— Co jest największym nieszczęściem i brakiem człowieka? — Nie znać rodziny i domu.

— Co jest największym nieszczęściem i niedolą człowieka jako istoty śmiertelnej i nieśmiertelnej zarazem, złożonej z duszy i ciała? — Nie znać Boga i rodziny.

Przekleństwo wyraża się w tułaczce, wygnaniu, w opuszczeniu domu. Najsurowszą karą po karze śmierci jest banicja.

Rodzina — punktem wyjścia, Bóg celem. To start i meta, początek i koniec. Między tymi dwoma punktami mieszczą się wszystkie kolejne szczeble wędrówki ludzkiej ku górze.

Człowiekowi pozbawionemu **rodziny, bezdomnemu** znajdzie, bękartowi, dziecku rozbitego gniazda bardzo trudno znaleźć pełnię normalnego rozwoju. Zasadniczą cechę jego psychiki stanowi kompleks krzywdy. Pamięć tej krzywdy ciążyć będzie na jego życiu i uczynkach, nadając im szczególnie gorzkie zabarwienie. Ewentualna jego droga ku świętości będzie bardziej mozolną i trudną niż droga tych, którzy wystartowali normalnie. Wprawdzie literatura opowiada baśnie o genialnych i twórczych dzieciach nieprawego łoża, życie jednak mówi co innego, historia daje odmienne dowody. Jednostki genialne, owszem, lecz nigdy pełna, pozytywna i krzepiąca twórczość.

Zresztą taż sama literatura oddaje hołd prawdzie życiowej. Celem, ku któremu od tysiąca lat steruje wyobraźnia pisarzy, ukoronowaniem miłości jest małżeństwo czyli założenie rodziny. Pozornie banalne zakończenie, zwane dawniej poślubieniem Numy przez Pompiliusza, obecnie określane jako happy end, jest niczym innym, jak echem arcyludzkiej świadomości, że dopiero z chwilą założenia domu bohaterzy opowieści spełnią swój społeczny obowiązek. A upodobanie z jakim szerokie rzesze czytelnicze witają ów niezmienny oklepany koniec, to tylko trafne wyczucie, że wszystkie zagmatwania poprzedzające finał są drobiazgiem nie stotnym, ważne zaś jest czy nowe gniazdo zostanie założone lub nie.

Poprzez wszystkie wieki, poprzez wszystkie kultury świata pojęcie szczęścia doczesnego wyraża się w dobranym stadle, w zgodnej rodzinie, w bezpiecznym domu. O domu rodzinnym marzą Odysseusz, Latający Holender i Peer Gynt. Myśl o domu wypełnia utęsknione sny jeńców wojennych, emigrantów i wygnańców. Innego synonimu szczęścia **ludzkość nie znalazła i nigdy nie znajdzie,** nie masz go bowiem pod inną postacią na świecie. Wszystko co nie jest Bogiem lub rodziną to narkotyki lub namiastki.

A wszak właściwością natury ludzkiej jest pragnienie szczęścia. Zwierzęta tego pragnienia nie znają, dążą tylko do doraźnego zadowolenia i dosytu. Lecz człowiek pamięta utracony raj i wiecznie w nim żyje tęsknota połączona z przeświadczeniem, że szczęście powinno być jego stanem normalnym, brak szczęścia zaś anormalnym. I ta tęsknota znów jedynie w Bogu albo w rodzinie znajduje swe zaspokojenie. Rzeczy bardzo proste są nieraz najtrudniejsze do pojęcia, przeto wielu ludzi podobnych rycerzowi z bajki o Trzech Czaplich Piórach traci całe życie na szukanie szczęścia leżącego na progu domu który porzucili.

Dlaczego, skoro tak jest, skoro na jedno są zgodne wiara, sztuka, doświadczenie życiowe tysiącleci — ważkość rodziny, jej autorytet i świętość

nie są dotychczas powszechnie uznane i wszystkim wiadome?

Dlatego, że im dana rzecz jest wyższą, tym łatwiej ją sparodiować, że krok tylko dzieli wzniosłość od śmieszności, że ujemność antytezy mierzy się wartością tezy, że czym bardziej piękną, błogosławioną, szczęśliwą i czcigodną jest dobra rodzina — tym bardziej obmierzłą, przeklętą i szpetną jest rodzina zła. Zawsze bywały złe i dobre rodziny. Gdy jednak nadeszła epoka, w której kłębowiska żmij stały się liczniejsze od ognisk i gniazd — świat obarczył odpowiedzialnością za ten stan rzeczy samą instytucję rodziny.

Jakie są cechy niezbędne rodzinie, by się mogła z upadku podźwignąć?

Trojakie. Rodzina musi:

1. Posiadać Łaskę Bożą;

2. Być nierozerwalną;

3. Być liczną.

1. Bez Łaski Bożej ludzie sami z siebie nawet przy najlepszych chęciach nie stworzą dobrej rodziny. To ciężkie zadanie, na które nie starczy im sił. Rodzina nie jest instytucją doczesną, ziemską, związkiem, organizacją, kontraktem. Rodzina podobnie jak Kościół posiada dwojaki charakter: ziemski i duchowy, doczesny i wieczny, z Boga się wywodzi i do Boga wraca, bez Boga się nie ostoi.

2. Rodzina pojęta inaczej niż dozgonnie, rodzina okresowa, zależna od wytrwałości uczuć małżonków, nie zasługuje na miano rodziny. Wzajemne przekonanie małżonków o swojej wierności bez względu na bieg wypadków, bez względu na czas— jest podstawowym fundamentem, bez którego nie ma rodziny.

3. Rodzina musi być liczna. Składa się z reprezentacji trzech pokoleń (dziadek, ojciec, synowie; babka, matka, wnuczki) uosabiających teraźniejszość, przeszłość i przyszłość. Przez obcowanie z sobą tych trzech światów wytwarza się właściwy stosunek do postępu i tradycji (przeszłość, przyszłość), zrozumienie powiązań społecznych, należyty pochód życia. Dzieci musi być wiele. Stary pogląd, że dzieci są błogosławieństwem, winien być w pełni restytuowany. Wbrew pozorom o wiele łatwiej jest wychować należycie liczne potomstwo niż jedynaka. W licznym rodzeństwie bowiem dzieci wychowują się wzajemnie, uczą współżyć w gromadzie, osiągają społeczny stosunek do życia. Liczne rodziny stanowią przy tym rękojmię równowagi socjalnej. Tylko tam, gdzie jest większa ilość dzieci, znajdzie się wśród nich miejsce na powołanie kapłańskie, na powołanie zakonne, znajdzie się żołnierz, rzemieślnik, intelektualista, handlowiec, którzy pracując w różnych zawodach i środowiskach, lecz do tego samego domu wracając, sprzęgają i zbliżają ku sobie pozornie różne odcinki społeczne.

Dotychczasowy system polegający na tym, że inteligencja ograniczała do maximum swoją rozrodczość i obsadzała swym potomstwem wyłącznie zawody t. zw. „inteligenckie", zaś proletariat rodził masowo, lecz dzieci jego w 90% pozostawały nadal proletariatem — jest grzeszny moralnie i zgubny socjalnie, wiodący do katastrofy.

(Na marginesie tej sprawy zaznaczyć warto ciekawe zjawisko: tragedia dzieci wysiedlonych z Zamojszczyzny poruszyła serca ludzkie. Wiele małżeństw, które same nie chciały mieć dzieci, które twierdziły, że je na dzieci nie stać — zgłosiło gotowość przyjęcia dwojga, trojga dzieci... Jakże więc!.. Nie stać na swoje, skoro stać na cudze... Dlaczego ci sami ludzie cierpieli puste ognisko, nie rozjaśnione dziecięcym uśmiechem? Otóż dlatego, ze w pojęciu bardzo wielu małżeństw własne dziecko powinno posiadać wszystko. Powinno otrzymać od rodziców wszelkie dary świata. Mieć wszelkie możliwości. Jeżeli by miało odczuwać jakikolwiek brak, lepiej niechaj się nie rodzi! „Wolę wychować luksusowo dwoje dzieci niż czworo, które będą musiały się ograniczać" — jakże pospolity to pogląd! Pogląd ten jest zarazem dowodem analfabetyzmu religijnego. Rodząc dziecko bowiem, daje się życie człowiekowi, istocie nieśmiertelnej, powołanej do szczęśliwości wiekuistej. Człowiekowi, mogącemu stać się podobnym Bogu i równym aniołom. Ten wzgląd winien być chyba ważniejszy niż obawa, że dziecku nie będzie można sprawić aksamitnego płaszczyka).

Ubiegłe ćwierć wieku było dla nas okresem największego upadku rodziny. W Polsce niby katolickiej rodzina jako taka nie istniała wcale. To znaczy, że kto chciał zachowywał uczciwe, uświęcone formy, kto nie chciał—burzył je i deptał, nie napotykając niczyjego sprzeciwu ani potępienia. Przedstawienie komuś cudzej żony jako swojej narzeczonej, względnie mężczyzny żonatego jako swego narzeczonego — nie raziło ani dziwiło nikogo. Straszliwym pomnikiem tego stanu rzeczy jest literatura dwudziestolecia, malująca wymownie i z upodobaniem ówczesny rozkład rodziny. Rodzinę odarto z wszelkich walorów, wyśmiano, uznano za niepotrzebną. („Precz z matką przedwojenną" — pisał Boy — „dać jej amanta i niech się uspokoi!"). Literaturę tego okresu trzeba czytać, znać i pamiętać by uprzytomnić sobie tragizm chochołowego tańca, z którego nas wyrwał zbawczy grzmot wojny.

Ten kryzys minął. Powstanie książek w rodzaju np. „Wspólnego pokoju" Zbigniewa Uniłowskiego jest dzisiaj niemożliwością. Wicher wypadków rozwiał trujące opary. Rzeczywistość odsłoniła oblicze. I dziś w miejsce buńczucznie żałosnych haseł rzekomej wolności człowieka — w społeczeństwie polskim, przeoranym wojną, oczekującym świtu i nowego dnia, rodzi się samorzutnie myśl:

Zakonu św. Rodziny.

Poniżej podajemy czytelnikom pod rozwagę przysłany nam projekt.

Projekt Zakonu św. Rodziny

Nieprzemożone siły odrodzeńcze wstąpią w naród przez rodziny wierne tym oto zasadom i zwyczajom:

1. Bezgraniczna ufność w Opatrzność Boską.
2. Rzetelna wola wypełniania przykazań Bożych.
3. Synowska wierność Kościołowi Chrystusowemu.
4. Chrześcijańska czystość pożycia małżeńskiego.
5. Szczere dążenie do posiadania jak najliczniejszego potomstwa.
6. Umiłowanie pracy fizycznej i umysłowej.
7. Codzienna wspólna modlitwa rodziców i dzieci.
8. Codzienne, chociażby przez kilka minut, wspólne czytywanie Ksiąg świętych Nowego Testamentu lub wykładu nauki katolickiej.
9. Całkowite wstrzymywanie się od nałogów, zwłaszcza picia wódki, usunięcie alkoholu z przyjęć i zwyczajów rodzinnych.
10. Śpieszenie rodzinom sąsiedzkim z pomocą duchową i materialną.

To będzie Zakon św. Rodziny.

Rodziny zakonne winny się z sobą jednoczyć dla celów zorganizowanej pomocy duchowej i materialnej, a zwłaszcza dla spraw wychowania dzieci.

Służebnice św. Rodziny.

Wiele kobiet nie wychodzi zamąż. Żyją samotnie, czasem wstępują do zgromadzeń zakonnych. Może Bóg je natchnie, by poświęciły wszystkie swe siły dziełu św. Rodziny w charakterze jej służebnic. Jakże piękną mieć będą pracę: niesienie wszechstronnej pomocy rodzinom chrześcijańskim w charakterze lekarek, położnych, wychowawczyń przedszkolnych, nauczycielek, pielęgniarek chorych po domach, zastępczyń chorych matek, instruktorek kobiecego gospodarstwa domowego, kierowniczek internatów dla młodzieży.

Pomocnicy św. rodziny.

To ci, którzy będą wspierali Dzieło św. Rodziny modlitwą, pracą, autorytetem, ofiarami pieniężnymi, a więc: uczeni, artyści, lekarze, literaci, publicyści, nauczyciele, kapłani, zgromadzenia zakonne, działacze społeczni, posłowie do Sejmu i Senatu.

Wskazówki na dziś.

Rozpowszechniajmy myśli tu zawarte. Zachęcajmy młode małżeństwa, by już zaraz poczęły żyć w duchu Zakonu św. Rodziny. Dopomagajmy rodzinom ubogim w najbliższym naszym sąsiedztwie. Przede wszystkim zaś opiekujmy się dziećmi. Nie może zginąć więcej ani jedno dziecko polskie.

Jak Kościół Katolicki ocenia wojnę?

Etyka katolicka zawiera przykazanie „Nie zabijaj", stąd wysnuwa się często wniosek, że Kościół musi potępiać zasadniczo wojnę, jako sprzeczną z jego nauką. Problemat nie jest jednak tak prosty, jak się wydaje. Poza nakazem dobroci, łagodności i pokory, Kościół szerzy jeszcze jedną cnotę, a jest nią sprawiedliwość. I ona musi być również pociągana do rachunku. Jeżeli ktoś napada bliźniego, by go obrabować, a ten się broni, to słuszność i sprawiedliwość ma za sobą. To samo więc dotyczy stosunków międzynarodowych. Ale jest jeszcze inna zasada: Kościół wcale nie przyjął za swoją Tołstojowskiej etyki: „nie sprzeciwiania się złemu". Przeciwnie, jeśli ktoś patrzy na to, że dokonano na słabego bliźniego napadu, a nie pośpieszy mu z pomocą chociby z narażeniem się własnym, ten nie jest przejęty miłością bliźniego.

Jeżeli ktoś dowie się, że źli ludzie przygotowują skrycie mord człowieka, ma obowiązek wkroczyć i udaremnić to, choćby przez odwołanie się do siły, a więc do służby bezpieczeństwa.

Te trzy zasady stosuje Kościół i do stosunków międzynarodowych. Rozróżnia on wyraźnie wojny niesłuszne i te potępia, jako gwałt i przemoc i wojny słuszne, wynikające z poczucia sprawiedliwości. Państwo prowadzące wojnę obronną lub wojnę sojuszniczą w obronie sąsiada, któremu przyobiecało pomoc w razie napadu, lub wreszcie armia, urządzająca wyprawę dla poskromienia zła, a bez celów łupieskich — może działać w myśl etyki katolickiej, choć walczy i zabija. Używam słowa „może" z tego względu, że złość ludzka bardzo często nabiera cech ofiary tam, gdzie jest właśnie napastnikiem, a „w imieniu prawa" wydaje się działać gdy popełnia zbrodnie lub prowokuje napad na sąsiada, by mieć pozór do wmieszania się w wojnę. Że pogląd Kościoła na wojnę nie jest czysto obronny dowodzą Wyprawy Krzyżowe, których celem było zwalczenie zła, jakim było w tym wypadku prześladowanie wiary chrześcijańskiej przez Muzułmanów, niszczenie mieczem gmin chrześcijańskich i bezczeszczenie miejsc, uznawanych za święte.

W historii wojen polskich chyba 90% było wojnami słusznymi, a obecna wojna polsko-niemiecka została pośrednio w encyklice Papieża Piusa XII z jesieni 1939 r. uznana dla Polski za słuszną, a dla Niemiec za godną potępienia.

Kościół nie poprzestał jednak na takim czysto formalnym rozróżnieniu charakteru wojny. Przez całe wieki swego istnienia dokonywał wysiłków, by wojny ograniczyć, a przynajmniej odebrać im cechy okrucieństwa.

Ta praca Kościoła najjaśniej wychodzi z porównania wojen wczesnego i późnego średniowiecza. Oto ludy germańskie przyniosły z sobą do Europy nie tylko zamiłowanie do użycia miecza, co objawia się dotąd w propagandzie hitlerowskiej, szerzonej pod hasłem „der fröhliche, herrliche Krie-

ge" (wesołej, wspaniałej wojny), ale przyniosły ze sobą i niebywałe okrucieństwo.

Kościół użył wieków całych na przerobienie swym wpływem ducha Germanów, rezultatem tej pracy był ideał chrześcijańskiego rycerstwa. Zasadami jego było: 1) miecza wolno użyć tylko w słusznej sprawie, 2) walczyć należy tylko z wrogiem, 3) ludność niewojującą należy oszczędzać, 4) słabym i rannym udzielać pomocy, 5) wobec kobiet zachowywać się rycersko.

Na tych zasadach opierała się taktyka wojny. Pole walki obierano przy wspólnej zgodzie, jak na turnieju, podstępem brzydzono się, dla ratowania rannych własnych i wrogów tworzyły się zakony miłosierdzia.

Kościół ograniczał czas, dozwolony na zwady wojenne. Lata jubileuszowe miały być latami pokoju i było nimi rzeczywiście. Nawet w zwykłych latach wprowadzał Kościół „Pokój Boży", którego złamanie zwalniało podwładnych od przysięgi posłuszeństwa wobec łamiącego go zwierzchnika. Istniały obszary zakazane dla działań wojennych, np. rejon biskupstwa Trewirskiego.

Wszystkie te zasady uznaje współczesne nam powrotne barbarzyństwo za warte tylko śmiechu.

Kościół dążył do pokojowego rozgraniczenia rywalizacji państw dla uniknięcia powodów do wojen. Na tym polegała ta sławna linia rozgraniczenia zakreślona przez Stolicę Apostolską według równoleżnika z podziałem prawa do nowych kolonii między Hiszpanią i Portugalią.

Ten sąd rozjemczy stał się podstawą miarodajną na cały wiek XVI i XVII. To, co byłoby może wynikiem krwawych wojen między dwoma państwami chrześcijanskimi — zostało unormowane w sposób pokojowy. Łatwo dziś zmaterializowanym historykom przekpiwać sąd rozjemczy Papieża. Ale faktem jest, że w wieku XX Liga Narodów nie zdobyła się na podobny rozjemczy sposób udostępnienia wszystkim narodom do potrzebnych im surowców.

Z ducha Kościoła, choć nie wprost od niego, wyszła na świat akcja „Czerwonego Krzyża". Jak dalece symbol jest tu związany z chrześcijaństwem dowodzi à contrario fakt, że Turcy zażądali dla siebie innego symbolu, bo „Czerwonego Półksiężyca", a Rosja Sowiecka długo się broniła przed użyciem znaku Krzyża na oznaczenie Miłosierdzia.

W wojnie obecnej Instytut Papieski pośredniczył w 10 milionach wypadków pozyskania informacji rozdzielonych wojną rodzin z Polski, Francji, Belgii, Norwegii, Holandii i innych. Delegaci Papieża są bodaj jedynymi, których obie strony wojujące dopuściły do swych obozów jeńców.

P R A W D A D N I A

Nieporozumienie

Bardzo nas cieszy ożywione ostatnio zainteresowanie naszą akcją odrodzeńczą. Spotykamy w prasie różnego typu ideologicznego artykuły interesujące się na marginesie swych głównych zadań rolą, jaką możemy odegrać. Obok naturalnego odruchu zadowolenia, jaki przeżywają ludzie których ktoś dosłyszał, treść artykułów niepokoi nas. Obserwujemy bowiem tak zasadnicze nieporozumienie w podchodzeniu do istoty naszej akcji, że przyznajemy otwarcie: — albo my mówimy źle, albo ludzie źle słyszą.

Przyjmując istnienie dobrej woli tak u siebie, jak i u naszych oponentów, musimy dążyć do znalezienia wspólnego języka dla tych spraw, które są z a w s z e aktualne. Wydobyć na jaw przyczyny nieporozumienia musi być pierwszym etapem pracy.

O co chodzi? Czy zastrzeżenia budzą nasze idee, czy też nasza taktyka?

Co do założeń ideowych nie znajdujemy oponentów u ludzi, którzy nas bezpośrednio interesują. Nawet wyznawcy idei sprzecznych z katolicyzmem przyznają chętnie, że dążenie do wytworzenia typu uczciwego człowieka w Polsce jest koniecznością bezwzględną. Pozostaje taktyka. Przyznajemy, że jest nowa, śmiała i całkowicie nie pasująca do taktyk przyjętych i uznanych w dotychczasowym układzie stosunków życia zbiorowego. Postępowanie nasze wytwarza niepokój, budzi nastrój niepewności u ludzi, którzy w swym ośrodku organizacyjnym znajdują w ich mniemaniu pełnię środków na właściwe ukształtowanie życia społecznego i politycznego w Polsce.

Stwierdzić chcemy, że właśnie ów niepokój organizacji politycznych opiera się na nieporozumieniu. Treścią niepokoju jest wyczucie zagrożenia zrębom organizacyjnym takich czy innych grup politycznych, jest w tym racja i nie ma racji. Gdyby bowiem przypuścić, że w poszczególnych grupach politycznych jest dążenie świadome czy utajone do monopartyjnictwa — ludzie tych grup mają rację, że z nami walczą. Przyjmujemy bowiem nie naiwnie, ale całkowicie realnie, że nie ma już w Polsce miejsca na system monopartyjny, opieramy się ponadto na stanie faktycznym, obecnym i przyszłym, istnienia różnych partii politycznych, walczących o wpływy i władzę. Jest to zresztą kwestia poglądu na ustrój. Jako wysuwający w tym względzie jedną jedyną koncepcję „ustroju z Bogiem", mierzymy jego ukształtowanie miarą realnych możliwości.

U oponentów naszych nie stwierdzamy zresztą świadomych dążeń monopartyjnych. Widzimy tylko naturalną chęć wzrostu wpływów i pomnożenia szeregów organizacyjnych. Tego zaś nie utrudniamy. Nie rozbijamy istniejących organizacji politycznych, gdyż nie tworzymy własnej. Interesuje nas wszystko oprócz dążenia do władzy.

Gdzie jest zatym racja i gdzie powód do niepokoju, jeśli nie ma zastrzeżeń ideologicznych?

Właściwy niepokój może być tylko jeden i tego nie mamy zamiaru rozpraszać. Chcemy wywołać niepokój u ludzi, którym sumienie wyrzuca niezgodność postępowania z katolickim prawem moralnym, praktyczne sprzeniewierzanie się katolickim zasadom społecznym. Ci mają podstawy do niepokoju, gdyż walczyć z nimi będziemy bez żadnych względów, bez segregowania ich na przynależność do takiej czy innej grupy politycznej.

Usłyszeliśmy ostatnio ze strony najmniej spodziewanej zarzut naiwności, podano nam przy tym receptę służby w ramach jednej ideologii politycznej. Zarzut skierowujemy w stronę, skąd wyszedł. Znajdujemy się bowiem w roli ogarniających coś więcej, niż jeden, choćby najlepszy z istniejących, program. Ogarnąć chcemy z punktu widzenia katolickiego prawa, ładu i sprawiedliwości c a ł o ś ć polskiego życia zbiorowego. Mamy ambicję wpłynięcia w ramach polskich możliwości ustrojowych na wytworzenie typu człowieka uczciwego nie tylko w jednej grupie politycznej, ale w każdej, gdzie się znajduje katolik.

Zrozumieć nas nie chce i nie może tylko ten, komu względy polityczno-organizacyjne zasłoniły obraz całości potrzeb społecznych.

Po katolicku odrodzić Polskę, wpłynąć na wytworzenie katolickiego typu człowieka uczciwego— oto jedyne nasze zadanie. Nie my chcemy rządzić, nie my układamy programy socjalne i polityczne. Nie mówimy nikomu, że w jakichś nieuchwytnych **ramach organizacyjnych i z mgławicowym programem** socjalnym chcemy „jakoś" uzdrowić stosunki w Polsce. Przeciwnie: — wołamy, że to wy, ludzie spod różnych znaków partyjnych, że to wy, katolicy-narodowcy, katolicy - ludowcy, katolicy-demokraci, katolicy-socjaliści zrealizujecie naszą myśl nadrzędną: wprowadzenia Boga do waszych programów, Boga do waszych czynów.

Sobie zostawiamy rolę nawołujących.

Nie ma potrzeby nas się lękać. My nic nie dyktujemy. Osiągniemy cel, gdy zwarta opinia narodu zobaczy, iż zrealizować tęsknotę do uczciwości można tylko przez konsekwentny katolicyzm.

Nie my, ale ta opinia podyktuje w swoim czasie odpowiednie warunki swym politycznym organizacjom.

Niebezpieczny klimat

Marsz czerwonej armii ku granicom Rzeczypospolitej trwa. Armie niemieckie rozszarpywane, klinowane, wyciskane i niszczone wycofują się „strategicznie" ku „nowym liniom oporu", ewakuują miasta, tracą sprzęt, zostawiają na rozległych rosyjskich ziemiach dobrych, bo nieżywych niemców.

Na Wschodzie codziennie coś nowego. Wczoraj Krasnodar, Rostów i Woroszyłowgrad, dziś Charków, jutro pewnie Briańsk, a może Kijów. Wiadomości dwoją się i troją, nim przebrzmią jedne — nadchodzą drugie. Wywołują entuzjazm, realizują jakieś nadzieje, przybliżają koniec. A jednocześnie są jak zasłona dymna. Ukrywają przesunięcia specjalnych grup operacyjnych, działających na naszym wewnętrznym froncie.

Rośnie w naszych oczach prestiż armii sowieckiej, zatraca się do niedawna żywe poczucie nowego niebezpieczeństwa. Nie zwrócono uwagi na niedoszłą do skutku wizytę gen. Sikorskiego w Moskwie. We wszystkich rozmowach i komentarzach obecnej sytuacji wojennej na pierwszy plan zainteresowań wybija się kwestia klęski niemieckiej na Wschodzie bez zwrócenia uwagi na to, że klęska jednych jest zwycięstwem drugich.

Brak powiązań nadchodzącej klęski z rezultatem zwycięstwa wpływa tak dalece na zmianę oceny wypadków, że wytwarza to specyficzny klimat dla roboty najniebezpieczniejszej. Komuna w Polsce podnosi głowę. Na marginesie wspaniałej postawy sowieckiej armii, jej zwycięstw przybliżających realizację wizji końca, przesącza powoli swe wpływy w olbrzymią część bezkrytycznego społeczeństwa, oraz wkrada się w szeregi niepodległościowe, aby zyskać dane do decydującego w swoim czasie uderzenia.

W kołach uświadomionych szepce się coś o przygotowywanych przez komunę listach proskrypcyjnych czołowych działaczy polskich — w kołach nieuświadomionych przyjmuje się za dobrą monetę każdy fałsz o krajowych czynnikach oficjalnych, reaguje się żywo na każdą sugestię przedwczesnej akcji.

Wydaje się całkowicie zbędne dalsze analizowanie sytuacji. Są takie momenty, kiedy wystarczy krzyknąć na alarm. I dlatego nakazem chwili obecnej jest wzmożenie czujności. Pamięć zaś o tym, że mimo wszystko nie na Wschodzie leży rozwiązanie sytuacji wojennej, powinna przyczynić się do trzeźwości.

W ocenie wypadków na froncie wschodnim można pozwolić sobie na satysfakcję. Każdy zniszczony pułk niemiecki, każde ewakuowane miasto— to rzeczywisty powód do radości. Powiązanie zaś klęski niemieckiej z nieodłącznym czyimś zwycięstwem musi iść po linii rozważań **n a s z e g o** zwycięstwa!

Dopiero wtedy nie będzie zasłon dymnych i uzdrowi się polski, nieodpowiedni dla komunistycznej roboty, klimat.

Po raz pierwszy

Ludzie starzy, którzy zużyli daną im kiedyś wyobraźnię, twierdzą kategorycznie, że historia się powtarza. Od pewnej chwili życie dziać się zaczyna przez analogię, bilans i dydaktykę. Ktoś konsekwentny, a może złośliwy, złożył wyrazy w irytującą całość: „historia jest nauczycielką życia". Twierdzący coś wręcz przeciwnego spotka się z wielu stron z zarzutami różnego kalibru, od młodości do kalectwa włącznie. Bywa, że taki kaleki młodzieniec ma przeszło siedemdziesiątkę i nazywa się Pawłem Valery. Ale wtedy inna rzecz jest oczywista: wiadomo — poeta.

Gdyby historię pisali poeci...

Nie byłoby coprawda rocznic do obchodów i w świecie wspomnień panowałby chaos z pierwszego dnia tworzenia. Za to więcej byłoby trojańskich wypraw i odyssowych powrotów. Chociaż nie każdy koń trojański umiałby wejść do Stalingradu, i nie każdy Odysseusz znalazłby przytułek na św. Helenie.

Bo wbrew oficjalnemu doświadczeniu—wszystko dzieje się po raz pierwszy.

*

W obecnej wojnie każda ze stron miała swoje „po raz pierwszy". Z konsekwencją zdziwienia lub jego braku.

Zajęcie Warszawy, Paryża, Belgradu, Aten i Kijowa było młodością Trzeciej Rzeszy. Konsekwencje, jakie niemcy z tych faktów wyciągnęli, są miarą ich wielkości. Wielkości o wzroście führera. Warszawa dostarczyła łez pokonanych, tak potrzebnych dla germańskiego poczucia niższości; Paryż—galanterii i uznania; Belgrad i Ateny — satysfakcji, a Kijów — chleba, masła i Ukrainy! Niemiecki sen o życiowej przestrzeni pełnej mięsa, masła i chleba stał się rzeczywistością nader szybko, może nawet szybciej, niż go wymarzyło pokolenie nienasycone. Z tej szybkości naród panów z przypadku i przekonania nie umiał wyciągnąć konsekwencji poza doraźną uciechą. I tutaj tkwi najgłębszy sens niemieckiego imperializmu. Po raz pierwszy okazał się w sposób tak jaskrawy nihilizm Trzeciej Rzeszy.— Śmierć lub bochenek chleba, śmierć za bochenek chleba — takie jest prawdziwe brzmienie tysięcznych nekrologów, nazywających się w oficjalnym języku „poległ za Niemcy i führera".

Z rozpoczęciem wojny propaganda niemiecka usiłowała wykazać wyższość ideową swojego stanowiska. Po swojej stronie widziała dynamizm, ducha ofensywy i wolę zwycięstwa, co miało stanowić o przewadze nad demokracjami, które poza obroną nie wysuwały żadnego hasła walki. Dzisiaj po raz pierwszy wyciągnięto oficjalne konsekwencje z tego stanowiska. Dynamizm, prężność i duch ofensywy znalazł się w okopach własnego zakłamania.

Hitler po raz pierwszy proklamował koniec wojny bez zwycięzców i zwyciężonych, a dr Goebbels po raz pierwszy dostrzegł zagładę Niemiec.

Niemiecki naród jest wbrew jego własnemu przekonaniu narodem starców. Nie posiada zmysłu zdziwienia, tego narządu dzieciństwa i młodości. Realizację obietnic führera przyjmowano ze spokojem jako należność za wiarę i posłuszeństwo. Naród „panów" nie potrafił się dziwić i być szczęśliwym. Umiał być tylko ucieszonym z powodu racji pożywienia. Na ulicach Warszawy, Paryża, Belgradu, Aten i Kijowa maszerują kolumny umundurowanego systemu. Z zawziętością. Lecz zawziętość jest tylko nauczoną namiętnością.

Dopiero od listopada 1942 niemczyzna uczy się dziwić i... być nieszczęśliwą. Północna Afryka i front wschodni to pierwsze spojrzenia w stronę Kinderstube. Może, przynajmniej niektórzy, żołnierze Rommla i Paulusa potrafią na starość zdziecinnieć. A ten efekt opłaciłby narodowi niemieckiemu ponoszone w imię histerii ofiary.

*

Sprzymierzeni mieli w ciągu tych lat wojny swoje razy drugie i trzecie... Lecz tym niech się zajmują oficjalni dydaktycy. Bo przecież są już razy pierwsze. A kolejność ich nastąpienia ma swoją wymowę, która obejdzie się bez komentarzy.

Kiedy wymowa rzeczywistości jest wróżebna...

Paulus, Casablanca, Adana, Rommel, Krasnodar, Tripolis. Tym zaklęciem rozpoczyna się wróżba 1944. Było ich do tej pory wiele różnych. Z gwiazd i osamotnionych dłoni wróżyły się smutki oflagów; z bomb, obozów koncentracyjnych i palących się miast wróżyła się Trzecia Rzesza. A dziś: Paulus, Casablanca, Adana, Rommel, Krasnodar, Tripolis. To początek Nowej Europy. Powtarzajmy szybko, bo już jutro, pojutrze imiona innych miast i innych ludzi będą magiczne. Bo rzeczywistość niecierpliwa jest dla siebie samej.

Po raz pierwszy w ciągu trwającej wojny patrzymy w przyszłość dalej niż wzruszenie. W pejzażu odbitego miasta dostrzegamy maszerujące armie w stronę miast innych, które będą także odbite. Nie wymieniamy ich, niech się nazwą same. Stać nas dziś na cierpliwość, jak było nas stać na zdziwienie. Stać nas tym bardziej, że czas czekania zbiega się z oficjalną niemiecką żałobą.

*

Gdy ludzie bez wyobraźni będą obstawać uporczywie przy papuziej zdolności historii, stwierdzimy równie kategorycznie, że się mylą. Rok 1918 nie będzie powtórzony! Okres historycznych szacherek i fikcyjnych bankructw należy do przeszłości. Przyszłość ma na imię: bezwarunkowa kapitulacja.

Rzeczywistość układa swój nowy utwór i plagiat mu nie grozi. Dlaczegóż mamy nie uwierzyć, że należeć będzie do gatunku poematów? Słyszymy już zbyt długo mowę pana Jourdain i mamy prawo oczekiwać od nowego życia słów zbliżonych nawet do ewangelicznych.

Mamy prawo do tego. Po raz pierwszy.

Anglia musi czekać

W Casablance nie było Stalina. Fakt nieobecności najintratniejszego w tej chwili partnera — to niemożność stworzenia jednolitego dowództwa strategiczno-politycznego dla całości wojennych zainteresowań anglosaskich.

Zainteresowania te ogarniają coś więcej niż Europę. Sięgają w dziedziny, gdzie rozwój wypadków jest równie, a może i więcej, dla polityki anglosaskiej ważny, jak sprawy wojenne Europy.

Stalin ma spokój na najbardziej odległym Wschodzie. Za cenę japońskiego niepokoju nie ma ochoty nic kupić na swym wielkim zachodnim froncie, przynajmniej w tej chwili, gdy w przeciwieństwie do nieruchawego tunisiego frontu prze naprzód z niewiarogodną szybkością.

Punktem newralgicznym Ameryki i Anglii jest jednak Japonia. Ból stały o uspokojonym ostatnio nasileniu, grozi przewidywaniem koniecznej operacji w miejscu, dokąd dostęp najtrudniejszy. Alians z bolszewickim państwem za cenę dużych powikłań wewnętrznych powinien dać w pobożnych życzeniach anglosasów przynajmniej jedną stronę kleszczy dla ściśnięcia w pewnym momencie Japonii. Choćby nawet te kleszcze miały mieć tylko wartość statyczną. Wystarczyłoby nacisnąć wówczas drugą, a Indie, Indie i koncesje przywróciłyby dalekowschodnią równowagę imperialną.

Za alians ze Stalinem najwięcej płaci dotychczas Anglia. Nie jest ważnym owe sześćdziesiąt kilka tysięcy komunistów angielskich usiłujących wejść w szeregi Labour Party. Ważną jest rozbieżność angielskiej polityki oficjalnej z angielską polityką ulicy. Pisaliśmy przed prawie rokiem o ryzykownej grze Churchilla. Był wtedy Cripps. Dziś Crippsa już nie ma, ale jest ulica, która straciła Crippsa. Na jego miejsce przyszedł entuzjazm dla potęgi sowieckiej, podniósł się jeszcze bardziej kurs na Majskich, a interpelacje tegoż ostatniego w sprawie uszkodzenia londyńskiego pomnika Lenina ulica gotowa uznać za słuszne.

Polityka ulicy nie jest groźna. Komunizm angielski nie nosi rubaszek i watowanych kaftanów. A jednak Churchill... a jednak Churchill musi czekać.

Znawcy aktualnych stosunków stwierdzają, że Anglia jest gotowa. Rozpoczęcie budowy łodzi desantowych jest podobne ostatecznym wykończeniem drobiazgów. Wyjęciem fastryg z gotowego, uprasowanego ubrania. Mówią coś w Anglii o tym, że Ameryka dopiero za pół roku... ale ulica chce już.

Churchill się nie waha. Churchill czeka. Oficjalna polityka angielska, której nie schodzi sprzed oczu trudna konieczność walki o Singapur, musi czekać. A tymczasem śledzi bacznie rozwój wy-

padków na froncie nieobecnego w Casablance Stalina. I nie wiadomo kto bardziej oczekuje wiosny. Tej wiosny, która na froncie wschodnim wiele zatrzyma, choć już może niewiele zmieni.

A wówczas... wówczas pewnie będzie nowa Casablanca. Albo może powtórzy się turecka Adana, tylko w znacznie zwiększonym składzie.

Nie prorokujmy i nie wyprzedzajmy wypadków. Jedno jest pewne: — wyczekiwanie Anglii dziś konieczne, jutro nie będzie potrzebne. A wtedy — realistyczni znawcy mówią — wystarczy dwa tygodnie. Oby!

Z naszego punktu widzenia, z punktu widzenia sprawy polskiej, wyczekiwanie Anglii jest zbawienne. Wpłynie bowiem na to, że gdy nadejdzie moment uderzenia, nie Wschód zadecyduje, ale Zachód. Polska armia Bliskiego Wschodu będzie miała bardzo skróconą przez Turcję do kraju drogę.

Przegląd prasy niepodległej

za okres od 10.I do 10.II 1943

BISKUP WĘGIERSKI I BISKUP NIEMIECKI O HITLERYZMIE

W ostatnich tygodniach dwóch wybitnych przedstawicieli Kościoła zdeklarowało w sposób jasny i zdecydowany stosunek nauki Chrystusowej do hitleryzmu.

Przez radio watykańskie przemawiał prymas Węgier, kard. Seredy, potępiając całą doktrynę hitlerowską w słowach dosadnych, prostych i ostrych:

„Nie ma rasy panów. Na świecie istnieją tylko słudzy Boga i ofiary diabła. Nie ma narodów pośledniejszych. Przed własnym krajem i całym światem daję świadectwo odwiecznej prawdzie, że ktokolwiek wzbrania się uznać, że jesteśmy wszyscy dziećmi tego samego Ojca Niebieskiego i że posiadamy równe prawa w obliczu wieczności — ten jest narzędziem lub otwartym sługą królestwa ciemności".

Biskup berliński, Konrad hr. Preising, wygłosił kazanie, w którym oświadczył m. in.:

„Tak jak upadłe anioły nie zdołały zachwiać majestatu tronu Bożego, tak ambicje i czyny ludzkie nie zdołają wstrząsnąć podstawami praw Bożych na ziemi. Prawo bowiem leży w rękach jednostki czy nawet społeczeństwa, gdyż wypływa z prawa Bożego, które ustala zasady odróżniania dobra od zła. Negacja prawa Bożego rozpoczęła się w wieku XVIII, gdy ludzkość zaczęła głosić prawo rozumu, niezależnie od pojęcia Boga. Rozwój indywidualizmu przekształcił się z czasem w kolektywizm. Państwo zaczęło zajmować na świecie miejsce Boga, stało się Bogiem nie mającym nic wspólnego z prawdziwą Istotą Boską. Dzisiejsze pojęcie wolności jednostki i społeczeństwa nie ma nic wspólnego z prawdziwą wolnością Bożą, miast prawa zapanowało na świecie bezprawie, a przemoc zamiast sprawiedliwości. Istnieją pewne prawa, których nikt naruszyć nie może. Jednym z nich jest prawo rodziny i wzajemne obowiązki rodziców i dzieci, których nikomu naruszyć nie wolno, ani jednostce ani państwu. Każdy z nas ma duszę nieśmiertelną daną przez Boga i odpowiadać będzie przed Nim za swe czyny. Każdy z nas ma pewne prawa podstawowe, wypływające z pojęcia braterstwa Bożego, a są nimi przede wszystkim: prawo do życia, do wolności sumienia, własności, czci religii, w której się wychował. Praw tych naruszać bezkarnie nie wolno. Tylko poszanowanie praw i nakazów Bożych może zapewnić triumf pokoju, sprawiedliwości i wzajemnego braterstwa na świecie".

(wg. P. I. P.-u Nr. 6/1943)

LEWĄ MARSZ — KU MOSKWIE

Dostały się do naszych rąk dwa numery periodyku pt. „Lewą marsz" — czasopismo społeczno-literackie. Ponieważ pismo to uważamy za zjawisko, obok którego przejść obojętnie nie można, i nie należy, przeto zajmiemy się tu pokrótce kolejno obydwoma posiadanymi zeszytami, tj. grudniowym i styczniowym.

W artykule wstępnym numeru grudniowego napotykamy na charakterystyczne twierdzenie, że: „jedynie orężem nauki Marksa i Engelsa można wywalczyć w każdej sytuacji jak najprostszą drogę do zwycięstwa klasy robotniczej". Z tym większą skwapliwością przeszliśmy do lektury artykułu niepolitycznego pt. „Tragedia Władysława Broniewskiego", Napisany jest żywo i interesująco. To wszystko. Treść jego natomiast świadczy o grubym jakimś nieporozumieniu. Jest bowiem apologią człowieka, który przez całe życie będąc komunistą (w okresie przedwojennym wydawał np. niektóre swe utwory w Moskwie), po okupowaniu ziem polskich przez wrogie wojska sowieckie, działał nadal jako literat w służbie okupanta. W wyniku wewnętrzno-partyjnych nieporozumień, uwięziony przez swych sowieckich „towarzyszy" partyjnych, awansuje tym samym — zdaniem autora omawianego artykułu — do rangi niemalże męczennika i bohatera. Co ciekawsze — dwie strony dalej — w tym samym numerze omawianego pisma znajdujemy notatkę pt. „Kreatury", której autor piętnuje ze słusznym oburzeniem cały szereg naukowców, literatów, dziennikarzy — ba, nawet autorów tekstów piosenek, działających obecnie w służbie okupanta w Warszawie (mimo, że nie drukowali oni swych utworów przed wojną np. w... Berlinie). Mamy prawo żądać konsekwencji. Jeśli potępia się ludzi współpracujących u Niemców jako duchowych renegatów, to Władysław Broniewski, jak i wszyscy inni którzy współpracowali z drugim okupantem — sowieckim, zasługują na identyczne traktowanie i w opinii ogółu polskiego są równymi renegatami.

Sprawa omówiona powyżej wzbudzić już mogła pewną nieufność do ideowego nastawienia pisma, dla którego wolno współpracować z okupan-

tem, ale tylko wtedy, gdy okupantem tym jest komunista.

O ile numer grudniowy pozwala nam żywić jeszcze niejakie wątpliwości, czy profil ideowy pisma nie jest przypadkiem spaczony tu w wyniku nieprzemyślanego wystąpienia jakiegoś niedostatecznie przygotowanego ideowo autora, o tyle następny styczniowy numer, potwierdzając najsmutniejsze przypuszczenia — nie pozwala już żywić wątpliwości co do środowiska redakcyjnego „Lewą marsz". Firmuje numer to samo motto komunistycznego poety Majakowskiego, które „zdobiło" zeszyt grudniowy. Czterostronicowy artykuł wstępny tego społeczno-literackiego czasopisma, nie jest ani społeczny, ani literacki. Jest polityczny i apologetyczny. Mówi dużo i mętnie o socjalizmie, potem już otwarcie i z przekonaniem następuje apologia Komunistycznej Partii Polskiej. Nie będziemy tu cytować odnośnych ustępów dowodowych. Trzebaby na to przedrukować trzecią część artykułu. Służymy jedynie małą próbką tonu: „Na nic się nie zdały wieloletnie wysiłki, tysiączne ofiary ponoszone przez działaczy i członków KPP, zapełniających polskie więzienia, znoszących katusze Berezy Kartuskiej"... — itp., itp., it.

Nie wiemy kto redaguje i wydaje „Lewą marsz". Nie posądzamy o to patriotycznej lewicy polskiej, wątpimy również czy PPR zaczęłaby obecnie wydawać pismo społeczno-literackie, przeznaczone jednak dla inteligencji. Pozorna „literackość" pisma i jego anonimowość — to maska, którą zedrzeć trzeba. Sygnalizujemy: nowy ośrodek komunistyczny działa w Polsce Podziemnej.

POLEMIKA CZY INSYNUACJA

Po trzech przeszło latach prasowej pracy podziemnej w warunkach, w których na wydrukowanie każdego zdania składa się wysiłek, a czasem i ofiara życia wielu ludzi, spodziewaćby się można, że wszystkie redakcje pism konspiracyjnych rozumieć powinny wagę, ciężar gatunkowy i użyteczność każdego wypowiedzianego słowa. Truizmem byłoby niestety już jednak w tej chwili obszerne, poparte przykładami stwierdzenie, że jest dotychczas wprost przeciwnie. Nie zamierzamy też tym się zajmować. Są jednak wypadki zasługujące na wyjątkowe napiętnowanie, jako przykłady zaślepionej nienawiścią insynuacji. Tego typu wypowiedź znalazła się w końcu stycznia br. w jednym z polskich pism nacjonalistycznych. Cytujemy:

„Oni (mowa — wg. określenia omawianego pisma — „demosocjalistach" — przypisek nasz) są zawsze skłonni i skorzy do przelewania krwi — cudzej, rozumie się, ich własna bowiem płynie najwyżej wtedy, gdy zatną się brzytwą przy goleniu".

Możnaby darować sobie przytoczenie tak głupawego konceptu gdyby nie fakt, że podobna wypowiedź jest w najwyższym stopniu krzywdząca moralnie dla patriotycznej lewicy polskiej, której przedstawiciele — mamy tu na myśli przede wszystkim sfery robotnicze — walczyli, niedaleko szukając, we wrześniu 1939 roku równie bohatersko, jak przedstawiciele wszystkich innych ideowych grup politycznych. Tego rodzaju metody polemiki ze stanowiskiem przeciwnika świadczą smutnie o środowisku, w którym powstały.

Pismo zawierające omawiany fragment jest organem ludzi, uznających się za katolików i nawiązujących niejednokrotnie w głoszonych hasłach do autorytetu katolicyzmu. Nie przeszkadza to jednak zamieszczeniu w nim zdania: „Żaden Niemiec czy Żyd, żaden Ukrainiec czy Litwin nie może być przez nas uznany za brata".

Wypowiedzi tej nie możemy nazwać inaczej jak pogańską. Dalsze komentarze na ten temat uważamy za bezcelowe.

„BIULETYN SŁOWIAŃSKI"

Dnia 31.I br. ukazał się po raz pierwszy drukiem, wydawany dotąd na powielaczu, „Biuletyn Słowiański", miesięcznik poświęcony zagadnieniom Europy Środkowej. Numer omawiany przynosi dwa interesujące artykuły: „Sprawa Węgier na tle zagadnień słowiańskich" i szkic historyczny: „Łużyce i ich stosunki z Polską w okresie międzywojennym". Ten ostatni podaje szereg mało na ogół znanych naszemu szerszemu ogółowi wiadomości o tragedii Serbo-Łużyczan w ostatnich latach przed wybuchem wojny, gdy władze niemieckie rozpoczęły wobec nich gwałtowną akcję eksterminacyjną. Dziś dopiero, gdy sami żyjemy w niewoli niemieckiej, zdajemy sobie sprawę, co przeszedł ten zapomniany przez wszystkich lud słowiański za granicznym kordonem w latach 1936—38.

Ważkość i różnorodność godnych poruszenia spraw związanych z życiem narodów słowiańskich wskazywałaby na konieczność rozszerzenia „Biuletynu Słowiańskiego" — do przynajmniej 12 stron druku.

Nasze życie

UNIA Z UNIĄ

Pragnienie konsolidacji i jedności wszystkich polskich katolickich elementów leży na czele uczuć i poczynań FOP. To też z najżywszą radością przyjęliśmy wiadomość o połączeniu się Stronnictwa Pracy z Unią.

Dokument stwierdzający to połączenie zaczyna się od słów następujących:

W imię walki o Wielką Polskę Narodową, chrześcijańską i demokratyczną.

W imię idei chrześcijańskiej, społecznej i tradycyjnie polskiej idei unionistycznej.

W imię walki o sprawiedliwy ustrój społeczny i zapewnienie masom pracującym należnego miejsca w Polsce.

w imię programu potęgi pracy i kultury polskiej,

w imię walki o panowanie prawdy w życiu publicznym,

w poczuciu konieczności zespolenia wszystkich sił polskich,

w obliczu grozy niszczenia narodu polskiego,

Władze Stronnictwa Pracy i Unii aktem niniejszym postanawiają całkowite połączenie.

Na mocy tego aktu Stronnictwo Pracy przejmuje całokształt dotychczas przez obie organizacje prowadzonych prac politycznych. Unia zaś pozostaje ideowo-wychowawczą organizacją Narodu.

Kładąc podpisy pod niniejszym aktem obie strony apelują do wszystkich grup i stronnictw o podjęcie rozpoczętego procesu jednoczenia rozproszonyh sił Polski.

TYLE ZNACZY CO MUCHA...

Na Majdanku w czasie segregowania więźniów młoda kobieta rzuca się do nóg żandarma błagając by ją puścił. Zostawiła w domu czworo małych dzieci, najmłodsze ma zaledwie rok. Zginą bez niej. Nikt w domu nie został. Czworo dzieci! Pokazuje ich fotografie. Zaklina świętymi słowami, obiecuje modlić się za niego codziennie do śmierci... Żandarm słucha obojętnie, w końcu znudzony ukazuje jej muchę łażącą po ścianie.

— Widzisz — mówi — ty dla mnie znaczysz tyle samo co ta mucha. Co mi twoje dzieci? Ta mucha też może ma gdzieś dzieci, a ja ją... Ciężkie pacnięcie ręki unicestwia muchę.

TRUJĄCY POSIEW

Wśród wysiedlonych Niemcy przeprowadzają podział. Dorastająca młodzież, dojrzali mężczyźni i kobiety jadą na roboty do Rzeszy, starcy i dzieci są wysyłani w głąb GG. Do powiatu garwolińskiego, łukowskiego, siedleckiego przywieziono dzieciątka od siedmiu miesięcy do dziesięciu lat i starców od sześćdziesięciu pięciu.

Los tych ostatnich jest tragiczny, straszliwszy niż dzieci. Poczucie miłości chrześcijańskiej zanikło tak bardzo, że starcami na ogół ludzie nie chcą się opiekować. Dziećmi owszem, starcami nie. Na co starcy? Są niepotrzebni, nieużyteczni. Szkoda by zajmowali miejsce, zaprzątali głowy społeczeństwu. Dzieci to co innego. Dzieci są przyszłością narodu. Starcy są przeszłością, a przeszłość już się nie liczy...

— ...Dajemy tylko na dzieci... — zastrzegają się szlachetni skądinąd i ofiarni ludzie, dający sute datki na akcję wysiedleńczą. Żal nam starców, ale zajmować się nimi nie widzimy potrzeby...

...Nie widzą potrzeby!... Ten brak znamienny dowodzi, jak głęboko trujący posiew doktrym totalistycznych wsiąknął w duszę polską. Jak zatarł podstawowe przykazanie chrześcijańskie o miłości bliźniego bez względu na jego wiek.

Tragiczna jest dola tych starych bezdomnych sierot, od których odżegnywują się wszyscy, nawet swoi. Widząc powszechną obawę obarczenia się niedołężnym kaleką, udają silnych, aktywnych. W Siedlcach, w czasie rozbierania transportu przez społeczeństwo, staruszka siedemdziesięciopięcioletnia zapewniała, usiłując pohamować starcze drżenie rąk, że ma zaledwie pięćdziesiąt trzy lata, nie więcej tylko pięćdziesiąt trzy lata, że jest bardzo mocna i może jeszcze pracować...

Problem wysiedlonych starców jest jednym z problemów, zmuszających do rozstrzygnięcia czy jesteśmy społeczeństwem katolickim, czy nie? Czy kierujemy się ideologią hitlerowską, marksistowską czy Dekalogiem?

...WEZMĘ TYLKO ŁADNE...

Przeżyty przed pięciu tygodniami wstrząs Warszawy, gromadnie oblegającej dworce w poszukiwaniu wysiedlonych dzieci był piękny, w szlachetny ton jednak powszechnego uniesienia wkradł się pewien odsetek psychozy. Nie brakło snobizmu. Dziś, po miesiącu, poryw opadł, tamte mniej piękne czynniki zostały.

Do pani, która wielokrotnie nachodziła biura opiekuńcze domagając się dziecka, koniecznie dziecka, Opieka Społeczna daje znać, że jest dziecko, o którym marzyła. Pięcioletni chłopczyk, ładny, zdrowy, autentycznie wysiedlony z Zamojszczyzny. Można go wziąć.

Pani przychodzi. Pomiędzy nią a opiekunką danego punktu wywiązuje się następujący dialog:

— Ja chciałam dziewczynkę, a to przecież chłopczyk...

— Pani mówiła dziecko.

— Mówiłam, mówiłam, ale rozumiałam to dziecko zawsze jako dziewczynkę... Blondyneczkę z doleczkami i niebieskimi oczami... A to nie tylko że chłopiec, ale oczy ma ciemne... On mi zupełnie nie odpowiada...

— Jednakże my liczymy na panią... Oferta była tyle razy ponawiana...

— Cóż to, przymus? Nie lubię przymusu... Ostatecznie może zajmę się tym dzieckiem. Rodzice zostali zamordowani, nieprawdaż?

— Rodzice żyją. Są w Rzeszy na robotach. Odbiorą dziecko po wojnie.

— Jak to żyją? Co za szkoda! O, zdecydowanie nie biorę. Ja chcę tylko zupełną Sierotę... Dowidzenia pani, dowidzenia... Proszę mnie zawiadomić, gdyby coś było dla mnie. Pani już wie. Jasna blondyneczka, niebieskie oczy, sierota... (rozmowa autentyczna).

———

W Siedlcach na peronie:

— Ach ta, jaka milusieńka! Wezmę ją k nie znie... Takie ma śliczne oczęta...

— Może pani weźmie raczej to dziecko, nie ma nikogo...

— Ależ ono jest zupełnie brzydkie... Nie, nie, niech sobie zostanie...

— Staję po stronie mojej żony... Ona jest taka estetka... Nie znosi nic brzydkiego wokół siebie...

— Nieprawdaż? Ja już mam taką artystyczną naturę...

KIDNAPERSTWO

Nie przytaczamy powyższych, dosłownie zanotowanych rozmówek w celu obniżenia pięknego żywiołowego odruchu, lecz by zasygnalizować pewne niebezpieczeństwo wykorzystujące go jako pokrywkę. Obok wielu set kobiet zgłaszających się po dzieci z najszczerszego serca (przeważał wśród nich

proletariat), nie brakło „artystycznych natur", domagających się koniecznie blondyneczki z kręconymi włoskami. Kobiety, które same rodzić nie chciały, poczuły nagłe „zachcenie" dziecka, podobne do zachcenia rasowego psa, sjamskiego kota lub nowej sukni.

Kobiety-matki ustąpiły łatwo dowiedziawszy się że dla dobra dzieci lepiej pozostawić je w utworzonych przez Opiekę zespołach, niż zabierać je do domów prywatnych, niewolnice zachcenia natomiast nie ustąpiły bynajmniej. Uparły się, że dostaną „ładnego bobasa". Gdy im odmówiono, przedzierzgnęły się w kidnaperki. Wyprosić u znajomych auto, pojechać w garwolińskie, przywieźć sobie stamtąd dziecko, stało się hasłem dnia, marzeniem każdej modnisi.

Ta moda spowodowała zdarzenia następujące:

Do Stoczka czy Maciejowic zajeżdża przedstawiciel R. G. O. na inspekcję. Zaczyna rozmowę z wójtem.

— Jak wysiedleni?

— Nijakich wysiedlonych tu nie ma.

— Gdzież się podzieli? Przecież było tyle a tyle rodzin.

— Były, ale nie ma.

— Zabrano je?

— Nikt nie zabierał, same wyjechały.

— Dokąd?

— Ja nie wiem.

— Ej, panie wójcie, bez żartów. Gmina nie wie dokąd wysiedleńcy wyjechali? Powiadajcie zaraz rzetelnie, co to znaczy? Jestem z Komitetu, mam prawo pytać.

— Jak z Komitetu, to powiem. Nie wyjechały nigdzie, tylko jak auto zatrąbiło, to się pochowały. Bo kobiety myślały, że to znów jakieś panie z Warszawy jadą, żeby im dzieci pokradać.

NIEPOKOJĄCE OBJAWY

Nie chcemy zemsty, żądamy sprawiedliwości, pomstę zostawiamy Bogu, nie widzimy jednak potrzeby sztucznego wybielania przeciwnika. Od pewnego czasu stało się u nas modne przeciwstawianie gestapowców wojs a niemieckiego jako elementu stojącego wyżej, a w stosunku do nas usposobionego niemal przychylnie. Ten pogląd zaczyna również być modną psychozą, jakże przy tym bezpodstawną i niepotrzebną! Wojsko niemieckie składa się z takich samych Niemców jak Gestapo. Wojsko niemieckie dokonało niezliczonej ilości morderstw, egzekucyj, zbrodni. To nie żandarmi, ale lotnicy niemieccy we wrześniu 1939 roku zniżali się tuż nad pola i ostrzeliwali dzieci pasące bydło. To nie Gestapo, ale żołnierze niemieccy „likwidowali" Kercelak. Wojsko jest używane do przeprowadzania wysiedleń, do wykonywania aktów „zbiorowej odpowiedzialności", wojsko nigdy niczym nie zaznaczyło, że nie solidaryzuje się z poczynaniami Gestapo. Umniejszanie odpowiedzialności Niemców służących w wojsku, udzielanie im cech ludzkich jest śmieszną i zbędną słabością. Jeżeli bowiem jest prawdą, że w chwili obecnej wojsko napiera na złagodzenie kursu w stosunku do Polaków, to nie czyni tego z uczuć ludzkich, lecz po prostu iż lęka się o swoje tyły. Łaskawość dyktuje im strach — nie sumienie.

JURANDOWA DANUSIA

Pewien ustosunkowany Polak otrzymał od władz GG żelazny list, kontrsygnowany przez szefa Gestapo, upoważniający do zwiedzenia całego obszaru czterech dystryktów i wzywający odnośne urzędy niemieckie do okazania posiadaczowi listu wszelkiej pomocy i objaśnień. Uzbrojony w taki glejt stosunkowiec pojechał do Lublina i zameldował się u władz, prosząc o informacje w sprawie wysiedleń z Zamojszczyzny.

Szef lubelskiego dystryktu przyjął petenta więcej niż uprzejmie. Co do wysiedleń okazał zdziwienie, że podobne plotki mogą krążyć wśród polskiej ludności. Żadnych a żadnych bowiem wysiedleń na terenie jego dystryktu nie było i nie ma.

— Przecież... Przecież wszyscy o tym mówią?— przedkładał stropiony stosunkowiec.

— Czego ludzie nie mówią, mój panie! Daję panu słowo, rozumie pan, słowo, że wysiedleń nie ma. Chyba ja musiałbym pierwszy o nich wiedzieć.

— Ależ Zamość?

— Jedź pan do Zamościa, skoro nie wierzysz. Przekonasz się na miejscu.

Coraz więcej stropiony poczciwiec jedzie do Zamościa. Kreishauptman zgina się w pół na widok żelaznego listu. Czym może służyć ustosunkowanemu?

— Chodzi o wysiedlenia...

— Jakie wysiedlenia? Żadnych wysiedleń nie było...

— Skąd zatem pochodzą ludzie, zamknięci za drutami?

— Nie rozumiem, o czym pan mówi?

— Mówię o ludziach, przebywających w obozie pobolszewickim tu pod Zamościem.

— Ach, to baraki pobolszewickie! O to panu chodzi? Niestety, szczegółów nie znam. Bo to nie do nas należy. To własność Umsiedlungcommission z Litzmanstadt. Umsiedlungcommission była tu pewien czas, coś robiła, nie wiem dokładnie co, gdyż to do mnie nie należy, obecnie wyjechała.

— Chciałbym zwiedzić ten obóz. Mam zezwolenie...

— Pańskie zezwolenie obowiązuje tylko nas, władze administracyjne, nie dotyczy natomiast Komisji wysiedleńczej. Pan będzie łaskaw zwrócić się do nich po upoważnienie.

— Gdzie urzęduje komisja?

— W Litzmanstadt, ale zezwolenie może pan dostać tylko z centrali, z Berlina.

———

Pamiętamy wszyscy w Krzyżakach scenę, w której Jurandowi wzamian za córkę, którą komturowie zobowiązali się oddać rycerskim słowem, podsuwają dziewkę niedojdę. Geniusz pisarza uchwycił w tej scenie to, co dla duszy niemieckiej jest najcharakterystyczniejsze, co stanowi jej cechę bardziej specyficzną niż okrucieństwo, bardziej niż zachłanność. Tą cechą jest obłuda. Niewiarogodna obłuda, Szatańska. Czasem nawet ogarnia wrażenie, że szatan musi się wstydzić tych ludzi. Prześcignęli go.

———

Do żony kolejarza, Niemca, zamieszkałego z rodziną w Warszawie, pisze jego krewniaczka z Berlina:

„...Mam u siebie dwoje polskich dzieci... Rozweselają mnie trochę w strapieniu (dwaj s nowie piszącej zginęli na froncie wschodnim, przy. red.), są niezwykle miłe, prawdziwe moje schatże. Opatrzność mi je zesłała. Il kroć na nie spojrzę myślę sobie, co to za potwory ci Polacy. Bo, że przed wojną wymordowali tyle tysięcy naszych w Bydgoszczy, że teraz wybiii żydów, to jeszcze można zrozumieć, to nienawiści rasowe, ale żeby ze swoimi rodzonymi dziećmi obchodzili się tak, że nasi musieli wziąć je w opiekę, to przechodzi wszelkie pojęcie...".

Ten list (autentyczny) nie powinien dziwić nikogo. Wszakże przed kilku tygodniami dodatek niedzielny „Reichu" informował czytelników, że Polacy, plemię lekkomyślne i niegodziwe, pozostawiają swoje potomstwo w domach bez żadnej opieki, a sami masowo idą na szmugiel. Tknięci litością Niemcy zabierają opuszczone dzieci i oddają we właściwe ręce...

...Jurandowa Danusia!

Aktualia Warszawy

WYKRYCIE DRUKARNI „SZAŃCA"

Dnia 6 lutego br. o godzinie 10 rano silny patrol niemiecki odkrył i zatrzymał w obrębie posesji przy ul. Długiej 44/46 grupę żydów, poczym rozpoczęto przeszukiwanie wszystkich lokali na tym terenie. O godz. 10.40 Niemcy weszli do lokalu, w którym znajdowała się drukarnia „Szańca". Po pierwszym starciu z zespołem zakładów drukarskich część patrolu niemieckiego wycofała się i zaalarmowała resztę żandamerii, policję granatową i straż pożarną, które wkrótce przybyły na miejsce. Oddziały niemieckie w sile około 200 ludzi z bronią maszynową obsadziły otaczające posesję ulice i dachy domów i przystąpiły do zdobywania zabudowań ze wszystkich stron. Pracownicy drukarni, trwając na stanowisku, zniszczyli materiałem wybuchowym urządzenia drukarni mieszczące się w podziemiach i walczyli bronią ręczną, maszynową i granatami przez dwie godziny.

Według pisemnych wiadomości padło 12 Niemców zabitych i kilkunastu rannych. Wiadomości, napływające obecnie drogą wywiadu ze źródeł niemieckich mówią już jednak o ogólnej liczbie około 50 Niemców zabitych i rannych. Cały zespół zakładów drukarskich „Szańca", spełniając bohatersko swój obowiązek do końca, poległ w walce.

„FRANZ LEWANDOWSKY"

W pierwszych dniach lutego grupki przechodniów zatrzymywały się przed wielkim, wielowystawowym sklepem na rogu Brackiej i Widok. Sklep był zamknięty. Szyld głosi: „Franz Lewandowsky erster deutscher Fleischermeister in Warschau, kartka zaś wywieszona na wystawie — przedmiot zainteresowania warszawiaków — zawiadamia (oczywiście po niemiecku), ze od 1 lutego sklep będzie zamknięty z powodu powołania właściciela do wojska.

Pan Franciszek Lewandowski rzeźnik oportunista wpisał się rychło po wejściu Niemców do Warszawy na Volkslistę i robił przez trzy lata kokosowe interesy jako „pierwszy niemiecki rzeźnik w Warszawie". Niemiecka ojczyzna potrzebuje jednak coraz więcej mięsa armatniego na front wschodni. Pomysłowego rzeźnika, na którego „rdzennie niemieckie" pochodzenie wskazuje nawet samo nazwisko, powołano do zaszczytnej służby „w szeregach niezwyciężonej armii". Piękny sklep zamknięto. Rzeźnik wolał nie próbować swych zawodowych uzdolnień na wschodzie i popełnił w koszarach samobójstwo.

Na słupach ogłoszeniowych Warszawy rozplakatowano równocześnie proklamację, wzywającą wszystkie osoby pochodzenia niemieckiego (każdego właściwie chętnego, bo nie obowiązuje przedłożenie dowodów) do zostania Stammdeutscherem i do ucieczki pod opiekuńcze skrzydła „100-milionowego narodu niemieckiego".

Czy znajdą się nowi Lewandowscy...?

1918 — 1943.

Harda nieposkromiona Warszawa znalazła już pogardliwą odpowiedź na wzmagającą się falę teroru. W dniach ostatnich na murach miasta ukazały się masowo napisy smołą, wapnem lub kredą: „Hitler kaput", „Deutschland kaput" i wielomówiące, lapidarne równanie, zrozumiałe dla każdego, najgłupszego nawet Niemca — 1918—1943.

Zmazywane, zeskrobywane, zmywane gorącą wodą napisy pojawiają się po kilkunastu godzina h znowu w zwiększonych ilościach i są dla Niemców swoistym, nieusuwalnym „Memento mori".

KWITUJEMY: Na fundusz prasowy: — Most 4500, Zygmunt 1500, Basia 100 + 400 + 2000, Przyjaciel 500, Roosevelt 200, Duża 50.

Na cele specjalne: Bartłomiej 1000, Godło 3000, Płomyk 5000, Biedny 5, Staruszka 50, Garbaty 700, Bezimiennie 500, Prozerpina 2000, Arystokratka 2000, p. Marylka 500, p. Monika 200, p. Marta 50, p. Alinka 100, Dziedzic 600, Pani dyżurująca 100, Dwór 600, Trójka 400, Dziewiętnastka 185, p. Maria Alicja 130, Grot 50, p. Stanisławowa 200, Jedna z obecnych 10, p. Anulka 400, p. Leszek 10, p. Zosia 1000, Liski 100, p. Zosia 200, Dzieci dzieciom 220, Ziemia 820, Prąd 417, Dziewiętnastka 400, Ewa 100, Bezimiennie 20, Czyn gromadny 9409.80, Dzieci 20, Anonimowo 50, p. Hanka 100, p. Jędrek 150, p. Maria Alicja 800, Brodacki 500, p. Maria Alicja 730, Z.Z. 50, Żegota 5000, Ziemia II 100, Ziemia III 1000, p. Tomasz 50, Siedlce 500, Z.B 1000, D.D. 300.

Opuszczono omyłkowo w numerze styczniowym pokwitowanie na cele specjalne: Dom 100, MSO 50, M.T. 10.